

Jak lescze pluszczą się i płocie

*Tam z wyflaczonym jednym bokiem
Korweta z wimplem niby z lokiem
Leży jak dziewczka nad potokiem*

*A na pokładzie tu admirał
W hełmie blaszanym jak urywał
Będzie się męczył i umierał*

W ostatnim słowie poeta nad literą e postawił ukośną kreskę. W starym języku polskim oznacza ona ściśnienie – tak oznaczona litera jest niedosłyszalna, słowo więc należy czytać jak „umirał”. Rym pozostając asonansem, jest więc asonansiem nieco mniejszym. Rym posypał się też w drugiej zwrotce: cycka, tryska, pyska. Ale to oczywiście uwagi drugorzędne.

Podejrzewam, że Iwaszkiewicz potraktował ten wiersz jako wprawkę warsztatową, jako swojego rodzaju figiel, choć środki jakich użył są dość ponure. Zastanawiałem się, jak ten „ładowy” poeta wpadł na pomysł napisania marynistycznego wiersza. Być może czytał jakiś utwór z opisem morskiej batalii, a wyobraźnia podpowiedziała mu szczegóły wymagające jednak pewnej wiedzy: ta wyflaczona korweta z wimplem niby lokiem... Bardziej prawdopodobna wydaje mi się jednak inna inspiracja. Wyobrażam sobie mianowicie, że oglądał starą rycinę – może naiwną, a nawet prymitywną i napisał wiersz wystylizowany właśnie na ten obraz. W bitwie morskiej według Iwaszkiewicza nie ma nic romantycznego, obraz jest konsekwentny w brzydocie, w nagromadzeniu odpychających rekwizytów, a „umirający” – prawdopodobnie od ran – admirał ozdobiony jest hełmem z blachy przypominającym urywał. Trudno o coś mniej wzniosłego.

III

W roku 1963 ukazał się tom *Jutro żniwa*. Przypomnę, że był to dla poezji czas hałaśliwy – bardzo mocno brzmiały w nim głosy poetów pokolenia Współczesności, o swoje miejsce w literaturze dobijali się młodzi z Hybryd i setki innych, znaczących wówczas, a dziś niemal zapomnianych poetów. Co w tym tłoku mieli robić inni, pośpiesznie zaliczani do przeszłości poeci, którym nie odmawiano historycznych zasług, ale którzy – jak sądzono – nie mają współczesnym nic do powiedzenia? Odpowiedział na to olimpijski poeta Leopold Staff tomem *Wiklina*, głosem jakże innym od tego, którym mówił w *Deszczu jesiennym*, odpowiedział Jarosław Iwaszkiewicz. W tym zbiorze ukazał się wiersz *Spowiedź Messalki*. Przepisałem go wiernie, tak jak został opublikowany. W czasach, w których powstał, modna była w młodej poezji – i uważana za nowatorstwo – pogarda dla interpunkcji. Iwaszkiewicz użył w całym wierszu jednego przecinka, dwóch cudzośłów i dwóch myślników. W połowie wiersza akapity zaczynają się od małych liter – to pokłon nowoczesności, w drugiej z dużych – to przywiązanie do tradycji. Arka przymiera między dawnymi, a naszymi czasami...

Spowiedź Messalki

*W głębokiej ciszy nocnej ulicy
człapanie końskich kopyt*

dorożka na gumach

*kareta pikowana
szafirowym atlasem*

*suknia z czarnej koronki
na morelowym tle*

brylant utajony w czarnej gazie

*Panie, zetnij pszenicę sierpem
razem z kąkolem*

„Niechże pani wejdzie na awanscenę”

*Trony trąbią
w konchy*

*Cała sala woła jak jeden mąż:
– Messal, Messal –*

Trochę mnie kępuje wyjaśnianie spraw oczywistych, ale niech tam! Messalka (1886-1953, debiut sceniczny 1904), primadonna Operetki Warszawskiej, występująca także w teatrach i kabaretach, była wielką i podziwianą w Warszawie i poza nią gwiazdą. Lucyna Messal była ogromnie popularna: o kamienicy, w której mieszkała, mówiło się „dom pod Messalką”, istniała też na Krakowskim Przedmieściu łaźnia „Messalka”. Wiersz Iwaszkiewicza jest wspomnieniowy, zapewne powstał kilkadziesiąt lat po tym, jak gwiazda tej diwy przygasa. Ale trwała jej legenda. Kiedy i gdzie rozgrywa się „akcja” wiersza? Była to z pewnością Warszawa. Ale jeszcze nie ta, po której gęsto jeździły automobile, wtedy ich miejsce zajmowały dorożki, ale już na gumach. Gwiazda zaś paradowała w karecie. Prawdopodobnie był to więc początek lat dwudziestych ubiegłego stulecia, to znaczy ten czas, kiedy prowincjonalny poeta Jarosław Iwaszkiewicz pojawił się w stolicy młodej, nowej Polski. Musiał oglądać gwiazdę na scenie, ale najbardziej zapadła mu w pamięć przelotna chwila, przelotne spostrzeżenie: wewnątrz karety wybite szafirowym atlasem, w tym wnętrzu Ona – koronkowa czarna suknia ozdobiona broszą z brylantem i morelowe tło. Zobaczymy to: trzy harmonizujące z sobą kolory... A potem jest już w teatrze, spektakl się skończył. Dyrektor teatru prosi primadonnę na proscenium, a cała widownia kwituje jej występ owacją na stojąco. I *trony trąbią w konchy*. Trony, byty duchowe, poprzedniczki aniołów, łączniczki śmiertelników z bogami i Bogiem. Ich instrumentami są nie trąbki czy fanfary, a muszle, konchy. To jest rekwizyt z klasycznego malarstwa obrazującego sceny z czasów greckich czy rzymskich. Wszystko inne należy do epoki wczesnego międzywojnia. A może do jeszcze o kilka, kilkanaście lat wcześniejszych?

Pozostaje jeszcze jedno – wcale to nie szczegół – tytuł wiersza. Jeśli modlitwa, to modlącej się można przypisać tylko dwa krótkie wersety:

*Panie, zetnij pszenicę sierpem
Razem z kąkolem*

Czyje słowa włożył poeta w usta Messalki? Jeśli własne – to dlaczego? Co ten rustykalny obraz robi w miejskim krajobrazie? Gdyby był to cytat, to najpewniej autor jakoś by to zaznaczył. A może – wiem, że to prymitywna supozycja – chodzi o te ostateczne żniwa, w których plonem są zasługi i przewiny? Nie znajduję odpowiedzi na te pytania. I nawet nie wiem, czy należało je zadawać.

IV

Kilkanaście lat temu inaugurowaliśmy XXXI Warszawską Jesień Poezji w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego. Jakiś czas przedtem zadzwoniłem do Adama Hanuszkiewicza. Przedstawiłem się, powiedziałem o naszym festiwalu i o tym, że koncert zaczynający Jesień chcemy oprzeć na wierszach Jarosława Iwaszkiewicza. I umotywowałem zaproszenie: w roku 1958 na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu, na koncercie z okazji festiwalu młodej poezji polskiej zobaczyłem młodego aktora nazwiskiem Hanuszkiewicz, który recytował – nie, nie recytował, a mówił – *Plejady* Iwaszkiewicza. A ponieważ nie mogę tego zapomnieć – czy pan dyrektor nie zechciałby zaszczyścić?... Po tamtej stronie zapadło milczenie, a potem rozległo się coś podobnego do wybuchu wulkanu. – Iwaszkiewicz? To największy polski poeta! Niech pan do mnie przyjedzie. Najlepiej zaraz!

Pojechałem do Teatru Nowego. Pan Adam dał mi do posłuchania nagranie montażu wierszy Iwaszkiewicza. Byłem zachwycony. A potem długo rozmawialiśmy. Opowiadał mi o swoich licznych spotkaniach z Iwaszkiewiczem, zaczęliśmy sobie recytować wiersze mistrza. Powiedziałem wiersz zaczynający się od słów *na cmentarzu w Sandomierzu*. Wróciłem do siebie i po pół godziny odezwał się Hanuszkiewicz: – Panie Marku, nie mam tego wiersza, a włączę go do programu. Niech mi pan wyśle faksem. Zrobiłem to, wiersz w programie się znalazł.

Koncert trwał 55 minut. Wiersze mówił tylko Hanuszkiewicz (w tużurku, o lasce ze srebrną główką), a siedmioro aktorów z jego teatru śpiewało poezję Pana Jarosława. W dostojnej zamkowej sali przez prawie godzinę panowało absolutne milczenie, a potem rozległy się ogromne brawa. A do mnie podszedł mocny człowiek polskiej literatury Roman Śliwonik i powiedział: – Marek, kurwa, wzruszyłem się. Popatrzyłem: miał żywe oczy.

Iwaszkiewicz osobiście lubił małe miasteczka, pisywał o nich. O Rozwadowie, Leżajsku, Ryczywole, Łańcutcie. Ale szczególnie upodobał sobie Sandomierz, gdzie bywał tak często, że miał tam swoje stałe mieszkanie.

Wiersz został zamieszczony w tomie *Ciemne ścieżki* (1957).

*Na cmentarzu w Sandomierzu
Rosną osty i badyle,*